

ANIÓŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

DO SZKOŁY!

Do szkoły!! dziateczki!
Bo już dzwonek woła,
Jak matka na dzieci
Czeka na was szkoła.

Ona jak matula
Do serca przytula,
Jak Anioł Stróż radzi,
Do szczęścia prowadzi.

Do szkoły!! dziateczki!
Bo w szkole nauka
I rozum oświeca
I do serca puka.

Literki się śmieją,
Książeczki czekają,
A biedne te dzieci,
Co szkoły nie mają.

Do szkoły! dziateczki!
Jak do ula pszczołki,
Tak wy po naukę
Spieszcie się do szkółki.

Bo kto za lat młodych
Do nauk nie spieszy,
Ten na stare lata
Smuci się — nie cieszy.

J. Str.



Szlachetność.

Almanzor między sąsiadami był jak ojciec w pośrodku dzieci swoich. Drzwi jego otwarte były dla każdego, i głodu we wsi nie było, póki u niego chleba stawało. Ale niebo zamknęło deszcze i sucha rola stała się niewierną, straciwszy zupełnie nasienie i przyszłego żniwa nadzieję. Stało się, czego się bano. Przyszedł na koniec głód ciężki i znalazł każdego w domu swoim. Dzieci, ten robak jedzący ustawicznie, patrząc na ręce matki swojej, z płaczem wołają chleba, który im tak obiecywała, a ona próżno wytrząsa naczynie, w którym chowała zboże, i jeszcze im do jutra czekać każe. Indziej niestrawną żołądźką napchany wieśniak puchnąć zaczął.

Strapiony wierny przyjaciel jego radby go od śmierci ubiegł i zdaje się być spokojniejszym, kiedy także na sobie równą puchlinę spostrzega. Siedząc pod dębem, który ich trucizną żywił, przyrzekają sobie wzajemnie, że pierwsi zmarli pogrzebieni będą przez pozostałego, a pogrążając smutno na dół, który sobie już wykopali, przyczyniają jeszcze boleści, wspominając na dzieci po lesie rozpierzchnione.

Powietrze, ten wierny towarzysz głodu, już się zbliżało, kiedy Almanzor przechodząc z synem po ulicy, znalazł leżącego na ziemi człowieka zemdlonego i w pół obumarłym głosem proszącego o pożywienie. Wzruszyły się wnętrzności jego, i pomyślał sobie: „Na cóż mi tych sprzętów w domu, jeżeli za nie chleb kupiony sto ludzi od śmierci wybawi? Podzielę tę odrobinę zboża, którą mam jeszcze, pomiędzy bliźnich swoich, pojedę w kraj jaki cudzy, gdziebym za mój dobytek chleba dostał“.

Tak myślał litością zdjęty i do syna swojego mówić zaczął: „Rustanie, synu mój! widzisz te siwe włosy na głowie mojej — znaki to są lat wielu, przecież jestem rzeźwy i lekarz żaden w domu moim nie powstał. Szczęśliwy to skutek przedstawiania na małym bez zbytecznych zabiegów, pomірności w napoju i pokarmie bez wyszukiwania ich zbyt wymyślnego, trzymania się zawsze prawdy bez pobłażania nikomu, udzielności dla bliźniego bez fałszu, znoszenia przypadków bez pochylenia się. Powiedz mi, synu, patrząc na tego z głodu umierającego człowieka, uczułeś tę siłę mocnego politowania, która zdaje się rozrywać wnętrzności? Potrzeba, dziecię moje, skoczyć w wodę, ażebyś tonącego brata twojego poratował; potrzeba nie żałować krwi twojej, jeżeli bliźni twój inaczej obronionym być nie może. Któżby dopiero marnego zbioru żałował, żeby nim drugiego w potrzebie nie wspomógł? Jużem, jak widzisz, posiwił, a zawsze sąsiadom chlebem i pieniędzmi moimi służąc, dotąd przecie niczego żądny nie byłem. Rozdajmy na zgłodniałych, co mamy pożywienia; weźmy tę trochę pozostałych

pieniędzy i szukajmy rychło gdzie chleba w kraju dla braci naszych! Nie tracimy na tem, mój synu! Ile tylko razy miałem sposobność udzielania chleba mego potrzebnym, zawsze to u mnie było znakiem wielkiego urodzaju w roku przyszłym“.

Tak Rustana uczył Almanzor. Rozesłał zaraz pożywienie potrzebniejszym, zabrał pieniądze wszystkie i cokolwiek z kosztownych rzeczy i ruszył wraz z synem w drogę. Po dniach kilku podróży nocleg przypadł w lesie; zwierzy dziki poszarpał zwierzęta, któremi jechali. Stworzonemu stąd Rustanowi tak ojciec smutek rozwoził: „Ty, widzę, synu, długo żyć nie chcesz, kiedy się tak lada przypadkowi poddajesz. Jak tylko wierzysz, że z ręki Bożej wychodzi wszystko, na kogoż narzekać będziesz? Alboż kiedy narzekania choćby największą szkodę komu powróciły? Z drugiej strony Opatrzność o każdym swoim myśli stworzeniu. Zwierzęciu dziękuję wyznaczyła część między bydłami naszymi, i nie na to stworzonym jest, aby głodem było morzone. Nim człowiek ugłaskał rodzaj koński i pochlebny mi napróżd uwodząc go sposobami, zdradliwie potem do ciężkiej zaprzęgi pracy — co rozumiesz? — jak wiele przedtem wieków upłynęło, że konie bez przeszkody były pod wilków panowaniem? A to im prawo Bóg i natura w sercu ich napisała. Rozsądzże teraz między wilkiem a człowiekiem, a pamiętaj nadewszystko, żebyś usprawiedliwił Boga i naturę“.

Stanęli na koniec w mieście, w którym żywności dostać się spodziewali, ale tam zastali surowy zakaz sprzedawania zboża z powodu bojaźni głodu. Dla tego potrzeba było wiele jeszcze przyczynić drogi i wydatku, nim nareszcie przyszli do miasta, gdzie kupić można było.

Długą podróżą wycieńczeni i niepomiarkowaną ceną zagadnieni, sprzedawszy sprzęty i obrachowawszy resztę pieniędzy, znaleźli się w niedostatku, że ledwie kupione za to wszystko zboże na dom ich wystarczycy mogło. W tym ciężkim stanie oddaleni od swoich, bez przyjaciela i znajomego (bo tam już nie sływały cnoty Almanzora) byli przymuszeni z żalem powracać z próżnymi rękoma do domu swego, kiedy Rustan tak mówić zaczął:

— „Ojciec mój! pamiętam nauki twoje i widziałem, z jaką przychylnością starałeś się o dobro bliźnich. Na cóżbym żył na świecie, gdybym się nie starał naśladować ciebie? Jestem młody, zdam się do pracy. Znajdziesz łatwo w tem mieście kupca jakiego, a powrót twój do domu ożywi tyle ludzi umierających. Ja tylko na wolności mojej tracę, a jakeś mnie nauczał, potrzeba życie nawet samo ofiarować dla życia bliźniego swego. Nie będzie komu płakać za mną w domu naszym (matka stara już umarła), ani ja w zaprzędaniu mojem będę się mógł smu-

cię, zawsze sobie przypominając, że współobywatele moi żyją, wdzięczni ojcu memu!

Lzy się rzuciły z oczu Almanzora, które i smutek nad utratą tak dobrego syna i radość nad wielkością cnoty jego wycisnęły.

— „Tak jest synu, tak“, — mówił Almanzor, — łkaniem przerywając słowa, „z pociechą patrzy niebo na ciarę twoją. Bronić tego nie mogę, chociażbym cię nie chciał tracić z oczu, póki jeszcze niemi cokolwiek widzę. Mnie lata zrobiły niezdatnym do niczego, że ci tylko teraz zazdrościć muszę. Bądźże wiernym panu, który ci się trafi! Jeżeli ci się co przykrego od niego przydarzy, znos zawsze skromnie i w bojaźni, jak niewolnik. Pokorą go uspokoisz, pokorą miłość u niego sobie zjednasz. Nie oszukuj go w pracy twojej, a w słowie twojem bądź rzetelny i stateczny!“

Piękny z oblicza Rustan, i w samym kwiecie rzeźwej młodości znalazł prędko na siebie kupca. Znaczne pieniądze odrachowano Almanzorowi z umową, ażeby, gdy syna uwolnić zechce, po trzech latach, oddane były, inaczej wiecznym zostanie u swego pana niewolnikiem.

Dobrze opatrzony w zboże Almanzor powracał do domu, kiedy z daleka współobywatele, poznawszy wozy dobroczyńcy swego, tłumami naprzeciwko niemu wyszli. Już się im przebrało było podzielone równo między nich pożywienie, i matki często wysyłały dzieci swoje na gór wierzchołki wyglądać powrotu Almanzora. Ale długo powracały do domu dzieci spłakane, nim przyszedł na koniec dzień obfitości i pociechy powszechnej, którą płacz żalu i wdzięczności pomieszał, kiedy się dowiedzieli, jak się dla nich wspaniale Rustan ofiarował.

Żniwo przyszłe było pełne, i następujące lata urodzajne sprawiły taniość w kraju, a ztąd poszła trudność przygotowania się na wykupienie Rustana. Kiedy już blizkim był czas odwiezienia pieniędzy, przyjaciół swoich zastał Almanzor albo w niedostatku, albo niewdzięcznych. Już i minęła pora umówiona.

Strapiiony ojciec wreszcie odważył się jechać do syna, chociaż znacznej jeszcze części pieniędzy brakowało. Chciał na miejscu jego zostać, a syn uwolniony prędzejby się o resztę postarał. Ale ciężka choroba zatrzymała go w domu, którą nieznośny frasunek i praca wielka w tak późnym wieku spowodowały. Czekał na łóżku od dawna śmierci niczem niepokieszony starzec. Stracił i oczy, których nie żałował, straciwszy, jak mówił, Rustana i nie mając już na co patrzeć na ziemi.

Wtem nagle jeden z sług jego o powrocie Rustana znać mu daje. Porwał się jeszcze z łóżka umierający Almanzor, i zdało mu się z radości, że na nogach stojąc, z synem się swoim przywita, a w tem nadszedł i Rustan.

— „Nie wstawaj!“ mówił, ojciec; ty, widzę słabym jesteś. O jakże to pociechą moją mieszam!

— „Ja, synu, nie widzę“, rzekł Almanzor, „ale poznaję głos twój. Rustanie, synu mój, ja cię podobno krótko i słyszeć będę!“ Powiedz mi rychło, jakim sposobem wyszedłeś z niewoli twojej, bo się obawiam, ażebyś ucieczką pana twego nie zdradził!“

— „Nie, mój ojciec!“ odpowiedział Rustan. „Jam szedł zawsze za napomnieniem twojem. W pracy, którą mi naznaczano, byłem pilny, a co mi czasu nadto zbywało, pomagałem innym robotnikom słabiej i wolniej robiącym, chcąc ich przez to od kary uchronić i nie dawać przyczyny do zagniewania pana. Nigdy nikogo nie oszukałem i nikt mnie o nic nie strofował. Uważałem wszystkie kroki pana mój, i poznałem to, że miał przywiązanie do mnie. Kiedy przyszedł czas wykupu mego, a nikogo z pieniędzmi nie było widać, zawołał mnie do siebie i tyle mi tylko powiedział:“

— „Pieniędzy nie masz, czas wyszedł; znasz zapis: już moim jesteś.“

Prawda, że wtenczas zapłakałem, wspomniawszy sobie, że już na wieki domu mego nie zobaczę, bo nie wiedziałem, jak blisko mnie było szczęście moje. Pan pierwszy raz zobaczywszy lzy moje, nie mógł się dłużej utrzymać z dobremi dla mnie myślami swojemi; przycisnął mnie do siebie i sam ocierał lzy moje.

— „Ty, powiada, Rustanie, lepszego losu wart jesteś. Żal ci zapewne domu i będziesz go widział. Przecież cię inaczej od siebie wypuścić nie chcę, tylko ażebyś wraz z ojcem twoim równe mógł mieć do ciebie prawo. Mam córkę, która będzie bogatą i z tobą, Rustanie, będzie i szczęśliwą. Jedź do ojca, powierz mu odemnie dary, proś o zezwolenie. Niech się tu sprowadzi do mnie, albo ja pojedę ze wszystkiem do was, mieszkać w tym domu szczęśliwym, gdzie razem i cnota mieszka.“

Almanzor zaczął błogosławić syna, i już to ostatnie słowa jego były, bo wkrótce potem na ręku Rustana skonał.



Bezpieczny jak za taborem.

Mieli dawni Polacy osobliwy sposób obwarzania obozów. Spinano wozy łańcuchami w czworogran: w przedziałach i rogach ustawiano

armaty, i tak pod strażą tej ruchomej twierdzy postępowało nieraz rycerstwo, otoczone zewsząd od nieprzyjaciół, dzielny im stawiając odpór i częstokroć szczęśliwie uchodząc z niebezpieczeństwa.

Pod zasłoną takiej warowni ustępował Stanisław Zółkiewski, hetman wielki koronny, z Wołoszczyzny przez bagna, pagórki i doliny mil trzydzieści ciągiem, ośm dni broniąc się z niewypowiedzianem mestwem przeciwko rojom Turków i Tatarów. Już blizki był swego celu, już stanął na godzinę tylko drogi od Dniestru; lecz niektórych niedbałość, a niekarność tłuszczy obozowej za prędko opuszczających obóz i spieszących na drugą stronę do kraju, o srogą klęskę i śmierć go przyprowadziły. Wpadają w rozerwany tabór ośmielone barbarzyńców tłumy. Pozostałe towarzystwo pozbawione koni, potykając się piechotą, raz jeszcze mężny stawia odpór, lecz wkrótce pod przemocą upada. Zółkiewski, widząc już całą rzecz straconą, że umrzeć potrzeba, ścisnął syna rękę i z szablą na tłumy rzuca się nieprzyjaciół, wyrzekłszy te pamiętne słowa: „Kraj powierzył mi to wojsko, jeżeli go nie zachowam, zginę z niem razem“.

Wtem jeden z rotmistrzów podaje mu konia i zaklina, by się ratował. Obruszony hetman myślą ocalenia siebie wtenczas, gdy wszystko ginęło, uderzył konia ostrzem żelaza, lecz cios wielkiem osłabionej dłoni raz tylko lekki zadaje; wkrótce mając koło siebie, synowca i syna, gdy bój nierówny zwodzi, najprzód utracą rękę, potem niepoznany wśród nocy pod tysiącami trupów upada. Pierwszy Koniecpolski spostrzegł zgon sędziwego wodza, a żalem zdjęty, kogo tylko w ciemności mógł rozeznąć ze starszyny, wołał: „Opuszczeni od niecných, osieroceni po dzielnym hetmanie, idźcie za mną waleczni! pomścić się klęski j-go lub śmierci nie przeżyć“.

Słowa te ożywiły pozostałych jeszcze. Z orężem w rękę przebijają hufce Turków, lecz wkrótce napadają nowe; biją się otoczeni zewsząd, znużeni przeciwko świeżo przybyłym, w szczupłej liczbie naprzeciwko tłumom; wielu ranami pokrytych pada, inni zabrani w niewolę.

Skoro dzień rozjaśniał, zebrali się Turcy dla zbierania zdobyczy i chowania pobitych naszych i swoich. Wśród stosu trupów znaleziono Zółkiewskiego ciało. Poznano męża po białej siwiznie, po tej szlachetnej i śmiałej twarzy, co zdała się grozić i po śmierci nieprzyjacielowi. Przyniesiono uciętą głowę do Skinder-baszy. Mówią, że wódz ten długo w nią wlepione trzymał oczy, czyli to karmiąc mściwą pychę widokiem tak znakomitego nieprzyjaciela, czyli z zadumania nad niestałością rzeczy ludzkich.

Dziecię i kapłan.

Przyszło dziecię do kościółka
I mówiło do aniołka:
„Aniolkowie ze skrzydłami!
Jakbym w niebie rad być z wami!
Wy tak Boga tam chwalicie!
Na to kapłan: „moje dziecię!
Prościuteńka w niebo droga:
Kochaj ludzi, kochaj Boga,
Kochaj sercem i czynami,
Będziesz w niebie z aniołkami.“



ŁAMIGŁÓWKI.

I.

Któż nie zna tego malarza,
Co bez farb portrety stwarza?
Maluje prędko i wiernie,
Ale na krótko niezmiernie.

II.

Przy kościołach rad stoję,
To ma praca jedyna.
Na wspak go się zaś boję,
Bo z nóg ludzi rad ścina.



Rozwiązanie łamigłówek z nr. 30.

Z a g a d k a.

K a - t a - r a k - t a.

